

## Nie możesz mi płacić za serce



**Żydzi też wierzyli w dziesięć przykazań, też kochali ojczyznę. Chyba dlatego pomagała im, narażając życie.**

Wiosna 1940 r. Do 18-letniej Aliny Czarnackiej przychodzą koledzy i koleżanki z gminy żydowskiej, m.in. Mania Malinówna, Gienia Erlichówna, Jasek Perelman i Motek Wajzman. Z prośbą o pomoc w ciężkich czasach. -Oprócz tego, że pracowałam wtedy w aptece, prowadziłam księgowość w firmie „Bacutil” – wspomina pani Alina. -Firma była niemiecka, z Warszawy, w terenie zatrudniała też Polaków. Zajmowała się przetwórstwem odpadów z rzeźni (jelita, łój itp.) – pakowali je w beczki, solili i wysyłali do Niemiec. Ja to wszystko podliczałam. Nie płacili mi, ale za to dostałam ausweis (świadczenie zatrudnienia), dzięki któremu mogłam swobodnie się poruszać. Raz, że pomagało to mi – działałam wtedy też w konspiracji, a po wylegitymowaniu się mogłam wszędzie wleźć, dwa – pomogło innym. Bo jak się Żydzi dowiedzieli, że mam taki dobry ausweis, przyszli z prośbą, żeby założyć zbiornicę ziół. Zioła to leki, Niemcy lubili takie rzeczy, tak jak przetwórstwo odpadów. Żydzi zbierali więc i suszyli zioła - mięętę, macierzankę, sporysz i inne, chodzili po miedzach za płatkami bławatków.

Lista pracowników – sto osób, w tym osiemdziesiąt kobiet i dwudziestu mężczyzn – została zatwierdzona przez Gestapo. -Wyznaczyłam cztery grupy po 25 osób, potem oni wybierali swoją kierowniczkę albo kierownika. Zebrane zioła suszyli na strychach, potem dostarczali je do „Społem” na ulicy Kościelnej. Jak to wszystko wyszło, stawało się bardzo lekkie, więc pieniędzy nie było wiele (płacono 1,20 za kilo). Ja nic z tego nie miałam, kazałam im się dzielić tymi paroma groszami. Figurowałam tylko jako właścicielka przedsiębiorstwa, oni byli formalnie u mnie zatrudnieni. Niemcy tolerowali te wyjścia za miasto, więc chętnych do pracy Żydów było wielu. Mogłabym ich przyjąć z dziesięć razy więcej, ale nie byłabym w stanie wszystkiego objąć, czuwać nad bezpieczeństwem, więc brałam tylko tych przysyłanych z gminy żydowskiej. Ale to i tak duża pomoc była. Udręczeni ludzie mogli trochę odetchnąć, zatrudnienie dawało też pewną ochronę. Jak któraś szła ulicą i Niemiec ją zatrzymał, to wystarczyło, że pokazała legitymację i puszczał – tłumaczy pani Alina. -Strasznie mi byli wdzięczni, po rękach całowali, choć ja się wzbraniałam.

Dzięki temu, że pracowała w zbiornicy ziół, udało się wyrwać z rąk Niemców Cyporię Zybirsztajn. -Nie miała przy sobie dokumentu, więc ją zabrali do majątku w Rudzieńcu. Jej matka, spłakana, przyleciała do mnie, no to wynajęłam furmankę z woźnicą i tam pojechałam. Modliłam się całą drogę, żeby ją przywieźć z powrotem, bo ta matka aż klękała przede mną, nawet płacić chciała. Ja mówię – „Co?!” – emocjonuje się na to

wspomnienie pani Alina. Choć sama przestraszona, zażądała od Niemców zwrotu bardzo potrzebnej – jak im argumentowała – pracownicy. Ci się upierali, ale w końcu wypuścili Cyporię. Przy okazji z majątku uciekły też trzy inne Żydówki. Kazała im szybko biec w stronę lasu, bo Niemcy mogli obserwować ich odjazd przez lornetki. Dopiero w lesie dosiadły się na furę.

### **Dziesięć przykazań – i dla ciebie, i dla mnie**

Robiła to wszystko – jak sama mówi – z potrzeby serca. Choć, gdyby chciała, mogła na tym skorzystać. -Jedna Żydówka przyniosła taką szkatułę ze złotem i mówi: „Weź”. „Co ty” – ja na to – „chcesz mi zapłacić za moje serce? Zabierz to”. Ona się rozpłakała: „Jaka ty jesteś szlachetna. Niemcy i tak zabiorą, więc ty weź”. Nie wzięłam, a dzisiaj może by się przydało na jakąś willę... Robiła to mimo tego, że ją przestrzegano. - Magister Rola, u którego pracowałam w aptece, mówił: „Przecież pani taka ładna, nie żał pani młodego życia? Rodziny swojej? (Pomagać Żydom to znaczyło narażać całą rodzinę). I mnie pani naraża. Skończy się to tak, że pani będzie wisieć na jednej gałęzi, kiecka się będzie chwiała, a ja na drugiej – spodnie się będą chwiały”. Ale ja na to nie zważałam, lubiłam pomagać ludziom i nie mogłam patrzeć, jak płakali.

-To były inteligentne, zamożne Żydówki – zamyśla się pani Alina. -Chodziły ze mną przed wojną do szkoły. Bardzo się lubiłyśmy. Pamiętam, jak kiedyś u Gieni Erlichówny (naprawdę miała na imię Gołda) zauważyłam, że jej ojciec, wychodząc z domu, dotyka dwoma palcami takiej listewki zawieszanej na drzwiach [mezuzy – red.], potem te palce przykłada do ust i czoła. „Co to?” – pytam. „Tata dotknął świętości, więc pocałował palce, które ich dotykały i przyłożył je do głowy, żeby pamiętać o tych świętościach i według nich żyć”. „Co to za świętości?”. „Takie, które obowiązują i ciebie, i mnie” – mówi Gienia. „Jak to, przecież ty jesteś wyznania mojżeszowego?”. A to chodziło przecież o dziesięć przykazań, które i oni, i my powinniśmy zachowywać. My kochaliśmy ojczyznę, oni też. Dlatego chyba pomagałam im z narażeniem własnego życia. Jedną koleżankę to nawet przechrzciliśmy na katoliczkę, ona na pewno jest w niebie. Zresztą oni wszyscy w niebie – przez mękę niewinną, zamordowani tylko dlatego, że byli Żydami.

Firma przestała działać, kiedy wszystkich Żydów zamknięto w getcie. -Któregoś dnia przyszedł Niemiec z tłumaczem i pyta, dlaczego ziół nie dostarczyłam. Ja zaczęłam pyskować – „Pracowników zabraliście mi do getta”. A mówić do nich? Trzeba było milczeć – mówi twardo pani Alina. -Kopnął, ja się usunęłam, trafił w krzeselko, które się rozleciało. Chwycił aparat do przecinania zdjęć (działo się to w sklepie fotograficznym mojej cioci Zakrzewskiej), uderzył mnie tak, aż zemdlałam. Głowa do tej pory czasami się odzywa.

Mimo to pomagała nadal, jak mogła – dostarczała leki do getta, opatrywała rany – zresztą nie tylko Żydom. Miała 17, kiedy wstąpiła do AK (jej krewny, Mieczysław Jędruszczak, był zastępcą szefa wywiadu AK w rejonie Parczewa). Wciągnęła do konspiracji koleżankę, Annę Kotlińską, wiele zaprotegowała. Nawet potencjalni adoratorzy wychodzili jako partyzanci. -Wyprawiałam go do lasu, dawałam leki, bandaże i inne potrzebne rzeczy. „Trzeba ratować Polskę, a jak już się wojna skończy to zobaczymy, może się pobierzemy” – mówiłam. No i tak zostałam sama... – wzdycha pani Alina. Gdy zbliżał się front, pracowały z koleżanką w urządzonym w baraku szpitalu (stał tam, gdzie dziś jest ośrodek zdrowia). Przeżyły tam bombardowanie. - Przyszła ciotka i krzyczy: „Panienki uciekajcie, bo was pierwsze powieszają”. Ale my

zostałyśmy, zaczęłyśmy odmawiać różaniec. Jeden pacjent strasznie panikował, wrzeszczał, jak nie wiem co i ja go, takiego wielkiego i ciężkiego, wypchnęłam z łóżkiem pod drzwi: „Pan pierwszego wyniesiemy”.

### Wojenny romans bez happy endu

Okupację przeżyli Gienia Erlichówna i Josek Perelman. -Gienia – ładna, inteligentna – ukrywała się w majątku gdzieś w kieleckim – mówi pani Alina. -Ja miałam tam koleżankę, z którą ożenił się syn rządcy. A drugi zakochał się w Gieni. Ona mu powiedziała, że najpierw musi odnaleźć swoją rodzinę (nie przyznała się, kim jest, a nie wyglądała na Żydówkę). Jeśli rodzina zgodzi się na ślub, to go tam zaproszą, a jeśli nie – to ona wróci, i tak się pobiorą, ale ona najpierw musi sprawdzić, czy ktoś przeżył. Więc po wyzwoleniu przyjechała do Parczewa, zatrzymała się u Perelmanki, która miała na Warszawskiej sodówkę - cukierki, wafelki, wodę sodową. Spotkałyśmy się na ulicy, popłakałyśmy. I tak jak widziałyśmy się w poniedziałek, to na czwartek umówiłyśmy się na dłuższe spotkanie. W tym czasie przyjechała do Parczewa ta moja druga koleżanka, Danusia. Stoimy na Warszawskiej i rozmawiamy, a tu Gienka leci. „Znasz ją?” – pyta Danko. „Ona u nas w majątku pracowała”. I poszła do Perelmanki, żeby wypytać o Gienię.

Idę w czwartek do Gienki, a Perelmanka mówi, że jej nie ma. Żydzi ją wywieźli, jak się dowiedzieli o tym chłopaku. Bo postanowili, że się mają żenić między sobą, skoro ich tak mało zostało (Gienia była ponadto kuzynką rabina). Podobno wyszła potem za jakiegoś adwokata z Międzyrzecza Podlaskiego. Dokąd wyjechali - nie wiem. Ten chłopak powiedział, że oboje ich zabije, dlatego ona ani nie zostawiła mi adresu, ani nie pisała, bała się, że ją znajdzie. A ona chciała mieć w końcu trochę spokoju. Josek Perelman po wojnie wykładał na Politechnice Gdańskiej. Chciał, żebym przyjechała spotkać się z nim, ale dla mnie to było za daleko, nie zdecydowałam się. A on potem wyjechał do Izraela i tam zmarł, rodziny nie miał. I ja nie mam żadnego świadka spośród nich.

*Korzystałam również z relacji Aliny Czarnackiej opublikowanej w Biuletynie Światowego Związku Żołnierzy AK - Nr 4(37), Rok X, październik-grudzień, Lublin 2002 r. Polscy świadkowie tamtych wydarzeń to Anna Kotlińska i Ludwik Golecki.*

„Może jeszcze żyją, tułają się po świecie, może o nich coś wiecie:

1. Erlichówna Gienia – u. Kolejowa 4, ojciec miał skład mebli
2. Gutwrajdówna Salka – ul. Kolejowa 1, ojciec miał skład materiałów tekstylnych
3. Malinówna Mania – ul. Kolejowa 4, ojciec miał drukarnię
4. Perelman Josek – ul. Warszawska, ojciec miał składy nafty
5. Wajsman Motek – ul. Kolejowa”.

*(fragment relacji)*

Alina Czarnacka urodziła się w 1922 r. w Parczewie. Po śmierci ojca, mając pięć lat, wyjechała do Warszawy, do Parczewa wróciła w latach 30-tych (na dwa lata) - do ówczesnej średniej szkoły handlowej, założonej m.in. przez jej rodzinę. W Warszawie przeżyła początek okupacji, ale ze względu na bezpieczeństwo przyjechała znowu do Parczewa. Po wojnie zamieszkała w Lublinie. Oficer AK, w czasie wojny działała w

konspiracji. Pisze wiersze.

Tak między innymi wspomina przedwojenny Parczew: „Moim chrzestnym ojcem był ówczesny burmistrz Wacław Maliszewski, ożeniony z ziemianką. Ojciec się z nimi przyjaźnił. Naprzeciwko nas mieszkali Tomaszunasowie, z córką doktora, Basią, bawiłyśmy się w ogrodzie u pani Kaczyńskiej (ciągnął się od ulicy Kolejowej aż do rzeki). Pani Kaczyńska opowiadała nam o dawnym Parczewie, w którym było 16 kościołów, a w miejscu, gdzie wybudowano szkołę nr 1 (dziś budynek „Biedronki” – red.) stała kaplica sióstr wizytek. Ona i mój dziadek Paweł chodzili tam śpiewać w chórze. Sama pamiętam, że gdy kopano fundamenty pod szkołę, to wydobywano stamtąd trumny rycerzy, broń i zbroje”.

Wiersz dedykowany przyjaciółce z dzieciństwa – Birucie (Basi) Fąfrowicz, z domu Tomaszunas:

Basi

Z dziecięcych snów, które wracają –

Ciebie Basieńko, wspominają.

Widzę dzieci, które w ogrodzie biegają,

Wokół bukiety kwiatów, różnych kolorów, bzów.

Jak dobrze znaleźć się tu znów.

Wiele zabawek, różnych lalek, jedna z nich to Murzynka Fifinka...

Rower, hulajnoga, dreznina i jeszcze jakaś maszyna.

Słyszę dziecięcy, radosny śmiech. Staś czasami zawita, co robimy zapyta.

Moje siostrzyczki się z Tobą bawiły, bardzo Cię lubiły.

Choć słońeczko jasno, radośnie świeci i grzeje,

Wokół wysokie drzewa, krzewy bzów cień dawały,

Nas od upału ochraniały.

Widzę na ganku Ralfa siedzącego, od czasu do czasu ziewającego.

Lalka z Ciapkkiem biegającego.

Na podwórzu bryczka w dwa koniki zaprzężona,

Samochód Jana, czekającego na rozkaz Pana. Z pięknego kościoła

Na Anioł Pański biją dzwony, niech będzie

Pan Bóg nasz pochwalony.

Z kuchni smaczne wonie się ulatniają, po niej kucharki i pokojowe się uwijają.

Pani Doktorowa, dobra, ładna, miła, biednych karmiła.

W kanapki, herbatę zaopatruje i o zdrowie wypytuje.

W oknie lub na ganku przesiaduje, na dzieci spogląda i szydełkuje.

Pan Doktor w całej okolicy jako najlepszy lekarz znany,

Jest bardzo zapracowany.

Nikomu pomocy nie odmawia, leczy zamożne ziemiaństwo;

Biednych Żydów leczy, datkiem wspomaga, niczego nikomu nie odmawia.

Czasami po pracy wyjeżdżają z koszami smakołyków

Samochodem lub bryczką do Siemienia

Albo na Kolonie pod las się wybierają.

Koc rozkładają, wypoczywają.

O zmroku wypoczęci, szczęśliwi, do domu wracają.

Do Lublina przeniosłaś się, nas w smutku zostawiłaś.

Moje siostrzyczki tęskniły, płakały, gdyż bardzo cię kochały,

Ja choć w Warszawie mieszkałam, to też rozstanie z Tobą  
Boleśnie odczuwałam.

W Lublinie wiele nad sobą pracowałaś, zdolna, dobra, ładna, miła,  
Nawet profesorem medycyny była,  
Znaną uczoną została, ale o nas nie zapomniała.

Niech Ci dobry Bóg błogosławi i całej Twojej Rodzinie.

Byście kiedyś u Pana Jezusa wszyscy się spotkali i już się nie rozstawali,  
A Twe Dzieci i Wnuki szlachetnych Dziadków poznali.

*Lila*

### **Zagłada parczewskich Żydów**

„Okupacja hitlerowska szczególnie dramatycznie odbiła się na ludności żydowskiej Parczewa. Już w 1939 r. Żydzi zostali wyeliminowani z życia gospodarczego. Odebrano im warsztaty rzemieślnicze i sklepy. Niszczono przedmioty kultu religijnego, zatrudniano przy budowie dróg i wyrębie drzew w lasach parczewskich. Do pierwszego pogromu doszło 20 listopada 1939 r. W następnym okresie [marzec 1941 r.- red.] władze okupacyjne utworzyły getto przy ul. Szerokiej i Bożniczej. W październiku 1942 r. około 5000 osób wywieziono stąd do obozu zagłady w Treblince. Część pozostałych, mieszkających w tzw. wtórnym getcie, wymordowano w 1943 r”.

*(„Dzieje Parczewa 1401-2001”)*

### **Marta Goździk**

